

AUTOR BESTSELLERA GWIAZD NASZYCH WINA

JOHN GREEN

PAPIEROWE MIASTA

FILM WYTWÓRNI TWENTIETH CENTURY FOX W KINACH

BUKOWY LAS



# PAPIEROWE MIASTA



JOHN GREEN

PAPIEROWE  
MIASTA

przełożyła  
Renata Biniek

BUKOWY LAS

Książka ta jest fikcją literacką, podobnie jak wszystkie opisane w niej postaci, miejsca i wydarzenia. Wszyscy jej bohaterowie są wytworem wyobraźni autora. Jakkolwiek podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, firm, miejsc oraz osób, żywych bądź zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

Tytuł oryginału: *Paper Towns*

Copyright © 2008 by John Green

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

This edition published by arrangement with Dutton Children's Books, a division of Penguin Young Readers Group, a member of Penguin Group (USA) Inc.

Copyright © for the Polish edition and translation by

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2013

ISBN 978-83-8074-000-6 (miękka opr.)

ISBN 978-83-64481-83-3 (twarda opr.)

REDAKCJA: Renata Otolińska

KOREKTA: Iwona Huchla

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

FK Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka Jawna

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)



DRUK I OPRAWA: Opolgraf S.A.

*Julie Strauss-Gabel,  
bez której wszystko to nie mogłoby się urzeczywistnić*





*A potem, gdy wyszliśmy na drogę,  
by stamtąd popatrzeć na jej ukończony lampion,  
powiedziałam, że podoba mi się sposób,  
w jaki światło prześwieca tę twarz migoczącą w ciemności.*  
fragment wiersza Jack O`Lantern  
z tomu Atlas Katriny Vandenberg

*Ludzie mówią, że przyjaciele nie niszczą się nawzajem.  
Cóż oni wiedzą o przyjaciółach?*  
fragment piosenki Game Shows Touch Our Lives  
zespołu The Mountain Goats



# Prolog

Osobiście widzę to tak: każdemu przydarza się jakiś cud. Umówmy się, że prawdopodobnie nigdy nie trafi we mnie piorun, nie zdobędę Nagrody Nobla, nie zostanę dyktatorem niewielkiego państwa na jednej z wysp Pacyfiku, nie zapadnę na nieuleczalny nowotwór ucha ani nie ulegnę spontanicznemu samozapłonowi. Jeśli jednak wziąć po uwagę wszelkie nieprawdopodobne historie, zapewne okaże się, że przynajmniej jedna z nich przytrafia się każdemu. Mogłem zobaczyć deszcz żab. Mogłem postawić nogę na Marsie. Mogłem zostać pożarty przez wieloryba. Mogłem ożenić się z królową Anglii albo przetrwać kilka miesięcy na morzu. Jednak mój cud był inny. Moim cudem było to, że spośród wszystkich domów na wszystkich osiedlach mieszkaniowych w całym stanie Floryda zamieszkałem w domu w sąsiedztwie Margo Roth Spiegelman.

Nasze osiedle, Jefferson Park, było kiedyś bazą marynarki wojennej. Kiedy zaś marynarka przestała jej potrzebować, ziemię zwrócono obywatelom miasta Orlando w stanie Floryda, które postanowiło wybudować tu ogromne osiedle, bo właśnie tak robi się w stanie Floryda.

Moi rodzice i rodzice Margo wprowadzili się do sąsiadujących ze sobą domów tuż po tym, jak postawiono pierwsze budynki. Margo i ja mieliśmy wtedy po dwa lata.

Zanim Jefferson Park stało się osiedlem przypominającym miasteczko Pleasantville, i zanim jeszcze zmieniono je w bazę marynarki wojennej, rzeczywiście należało do niejakiego Jeffersona, jegomościa o nazwisku Dr. Jefferson Jefferson. Nazwiskiem Dr. Jeffersona Jeffersona nazwano szkołę w Orlando, a także dużą fundację dobroczynną, jednak tym, co w historii Dr. Jeffersona Jeffersona jest naprawdę fascynujące i niewiarygodne, choć prawdziwe, jest fakt, że nie był on żadnym doktorem. Był zwykłym sprzedawcą soku pomarańczowego i nazywał się Jefferson Jefferson. Kiedy stał się bogaty i wpływowy, poszedł do sądu i „Jefferson” przyjął jako drugie imię, a pierwsze zmienił na „Dr.”. Duże D, małe r. Kropka.

Margo i ja mieliśmy już po dziewięć lat. Nasi rodzice się przyjaźnili, więc czasami bawiliśmy się razem i wyjeżdżaliśmy na rowerach poza ślepe uliczki aż do samego Parku Jeffersona, „piasty” koła, którym było nasze osiedle.

Za każdym razem, kiedy słyszałem, że za chwilę ma przyjść Margo, stawałem się jednym wielkim kłębkim nerwów, ponieważ była to najbardziej niesamowita i zachwycająca istota, jaką stworzył Bóg. Tamtego ranka miała na sobie białe szorty i różowy T-shirt, na którym widniał zielony smok ziejący ogniem pomarańczowego brokatu. Nie sposób wyjaśnić, jak fantastyczny wydawał mi się wtedy ów T-shirt.

Margo jak zwykle pedałowala na stojaco, prostujac ręce w łokciach i pochylajac się nad kierownicą roweru, a jej fioletowe tenisówki rozmywały się w koliste plamy. Był gorący, parny marcowy dzień. Niebo było bezchmurne, ale powietrze miało cierpki smak, jakby zbierało się na burzę.

W tamtym czasie miałem się za wynalazcę, więc kiedy tylko założyliśmy blokady na rowery i rozpoczęliśmy nasz krótki spacer przez park w stronę placu zabaw, opowiedziałem Margo o moim pomysle na wynalazek, który nazwałem pierścieniarka. Pierścieniarka miała być gigantyczną armatą wystrzeliwującą na bardzo bliską orbitę wielkie kolorowe kamienie, które tworzyłyby wokół Ziemi pierścienie podobne do tych, jakie ma Saturn. (Nadal uważam, że to świetny pomysł, ale okazuje się, że zbudowanie armaty zdolnej wystrzeliwać kamienne bryły na bliską orbitę jest dość skomplikowane).

Byłem w tym parku już tyle razy, że w pamięci miałem wrytą jego mapę, wystarczyło więc zaledwie kilka kroków, abym poczuł, że porządek owego świata został zaburzony, chociaż nie od razu potrafiłem stwierdzić, co się zmieniło.

– Quentin – cichym, spokojnym głosem odezwała się Margo.

Wskazywała na coś. Dopiero wtedy zorientowałem się, gdzie zaszła zmiana.

Kilka metrów przed nami rósł dąb. Gruby, sękaty i wyglądający na wiekowy – to nie było nowe. Po naszej prawej stronie znajdował się plac zabaw – i to też nic nowego.

Lecz oto o pień dębu bezwładnie opierał się ubrany w szary garnitur mężczyzna. Nie ruszał się. Oto co było nowe. Otaczał go krąg krwi, której na wpół zaschnięty strumień wypływał mu z ust. Usta zaś miał otwarte w nienaturalny dla ust sposób. Jego blade czoło obsiadły muchy.

– Nie żyje – oznajmiła Margo, jakbym sam nie potrafił tego stwierdzić. Zrobiłem dwa małe kroki w tył. Pamiętam, iż wydawało mi się wtedy, że jeśli wykonam jakiś nagły ruch, mężczyzna może się ocknąć i rzucić na mnie. To mógł być zombie. Wiedziałem, że zombie nie istnieją, ale on z pewnością wyglądał jak potencjalny zombie.

Podczas gdy ja robiłem dwa kroki w tył, Margo zrobiła dwa równie małe i bezgłośnie kroki w przód.

– Ma otwarte oczy – stwierdziła.

– Musimy iść do domu – wymamrotałem.

– Myślałam, że kiedy się umiera, zamyka się oczy.

– Margo musimy iść do domu i komuś powiedzieć.

Postąpiła jeszcze o krok. Była teraz na tyle blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć stopy mężczyzny.

– Jak myślisz, co mu się stało? – zapytała. – Może to narkotyki albo coś takiego.

Nie chciałem zostawiać Margo samej z martwym facetem, który mógł się okazać atakującym zombie, jednak nie miałem również ochoty tkwić w miejscu i dyskutować o okolicznościach jego zgonu. Zebrałem się więc na odwagę, zbliżyłem do Margo i złapałem ją za rękę.

– Margo, musimy natychmiast iść do domu!

– Okej, dobra.

Puściliśmy się biegiem w stronę naszych rowerów i poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła, zupełnie jakby działo się coś ekscytującego, mimo iż wcale tak nie było. Wsiedliśmy na rowery i puściłem Margo przodem, ponieważ płakałem, a nie chciałem, żeby to zobaczyła. Na podeszwach jej fioletowych tenisówek ujrzałem krew. Jego krew. Krew martwego faceta.

Chwilę później byliśmy już z powrotem w swoich domach. Moi rodzice zadzwonili na 911, a kiedy w oddali usłyszałem syreny, chciałem iść zobaczyć wozy policyjne, ale mama mi nie pozwoliła. Potem się zdrzemnąłem.

Moi rodzice są terapeutami, co oznacza, że jestem naprawdę cholernie dobrze przystosowany do życia. Kiedy się więc obudziłem z drzemki, odbyłem z mamą długą rozmowę o cyklu życia i o tym, że śmierć jest jego częścią, ale nie częścią, którą powinienem jakoś szczególnie zaprzatać sobie głowę w wieku dziewięciu lat, i poczułem się lepiej. Szczerze mówiąc, nigdy się tą sytuacją zbytnio nie przejąłem. O czymś to świadczy, jako że miewam skłonność do notorycznego przejmowania się.

No bo co: znalazłem martwego faceta. Mały, rozkoszny dziewięcioletni ja i moja jeszcze mniejsza, i jeszcze bardziej rozkoszna koleżanka z podwórka znaleźliśmy mężczyznę, z którego ust lała się krew, i ta krew była na jej małych, rozkosznych tenisówkach, kiedy wracaliśmy rowerami do domu. Wszystko to bardzo dramatyczne i w ogóle, ale co z tego? Nie znałem faceta. Do cholery, ludzie, których nie znam, umierają przez cały czas. Gdybym

miał przechodzić załamanie nerwowe za każdym razem, kiedy na świecie wydarza się coś okropnego, byłbym bardziej szurnięty niż wściekły makak.

Tamtego wieczoru o dziewiątej poszedłem do swojego pokoju, bo dziewiąta była godzina, o której powinienem być w łóżku. Mama otuliła mnie kołdrą, powiedziała, że mnie kocha, a ja jej powiedziałem: „Do zobaczenia jutro”, ona odpowiedziała: „Do zobaczenia jutro”, a potem zgasła światło i prawie zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy obróciłem się na bok, zobaczyłem Margo Roth Spiegelman stojącą po drugiej stronie okna z twarzą niemal wciśniętą w okienną moskitierę. Wstałem i otworzyłem okno, ale siatka wciąż tkwiła między nami, pikselizując jej twarz.

– Przeprowadziłam śledztwo – oświadczyła dość poważnym tonem. Nawet z bliska siatka rozmywała jej twarz, ale zdołałem dostrzec, że Margo trzyma w ręku mały notes i ołówek ze śladami zębów wokół gumki. Spojrzała w dół na swoje notatki. – Pani Feldman z Jefferson Court powiedziała mi, że facet nazywał się Robert Joyner i mieszkał na Jefferson Road w jednym z tych mieszkań nad sklepem spożywczym, więc tam poszłam i zobaczyłam kilku policjantów, i jeden z nich zapytał mnie, czy pracuję dla szkolnej gazety, a ja powiedziałam, że nasza szkoła nie ma gazety, a on na to, że skoro nie jestem dziennikarką, to odpowie na moje pytania. Powiedział mi, że Robert Joyner miał trzydzieści sześć lat. Był prawnikiem. Nie chcieli wpuścić mnie do jego mieszkania, ale drzwi



w drzwi z nim mieszka kobieta o nazwisku Juanita Alvarez, więc do niej poszłam i zapytałam, czy mogłabym pożyczyć szklanek cukru, a ona zaraz mi powiedziała, że Robert Joyner zastrzelił się z pistoletu. Wtedy zapytałam ją, dlaczego to zrobił, a ona na to, że się rozwodził i był z tego powodu smutny.

Tu Margo zamilkła, a ja tylko na nią patrzyłem, na jej szarą twarz, rozświetloną przez księżyc i podzieloną przez splot siatki na tysiąc małych kawałków. Jej szeroko otwarte, okrągłe oczy przeskakiwały znad notesu na mnie i z powrotem.

– Mnóstwo ludzi się rozwodzi i się nie zabija – skomentowałem.

– Wiem – odparła podekscytowanym głosem. – To samo powiedziała Juanicie Alvarez. Ale wtedy ona powiedziała... – Margo przerzuciła kartkę – ...powiedziała, że pan Joyner był zgnębiony. Zapytałam, co to znaczy, a ona odparła tylko, że powinniśmy się za niego modlić i że bym zaniósł mamie cukier, a ja powiedziałam „nieważne” i wyszłam.

I tym razem nie odezwałem się od razu. Chciałem tylko, aby nie przestawała mówić – ten cichy głos napięty z podniecenia bliskim odkryciem czegoś dawał mi poczucie, że właśnie przydarza mi się coś ważnego.

– Myślę, że chyba wiem dlaczego – powiedziała Margo.

– Dlaczego?

– Może popeękały w nim już wszystkie struny.

Usiłując wymyślić jakąś odpowiedź, wyciągnąłem rękę, nacisnąłem blokadę na dzielącej nas moskitierze

i ściągnąłem ją z okna. Postawiłem siatkę na podłodze, ale Margo nie dała mi szansy powiedzenia czegokolwiek. Zanim zdążyłem z powrotem usiąść, uniosła twarz w moją stronę i szepnęła:

– Zamknij okno.

Więc je zamknąłem. Myślałem, że Margo odejdzie, lecz ona wciąż stała w tym samym miejscu i tylko na mnie patrzyła. Pomachałem do niej i uśmiechnąłem się, ale jej oczy zdawały się utkwione w czymś za moimi plecami, czymś potwornym, co sprawiło, że z twarzy odpłynęła jej krew, ja zaś zbyt się bałem, żeby się obejrzeć. Jednak za moimi plecami niczego rzecz jasna nie było – no, może prócz tego martwego faceta.

Przestałem machać. Moja głowa znajdowała się teraz na wysokości głowy Margo i wpatrywaliśmy się w siebie z przeciwległych stron szyby. Nie pamiętam, jak to się skończyło – czy ja poszedłem do łóżka, czy ona odeszła. W moich wspomnieniach ta scena nie ma końca. Trwamy tak, na zawsze wpatrzeni w siebie.

Margo zawsze kochała tajemnice. W obliczu wydarzeń, które nastąpiły potem, nigdy nie opuszczała mnie myśl, że być może kochała je tak bardzo, że sama stała się tajemnicą.

CZĘŚĆ PIERWSZA

# *Struny i sznurki*



# 1

Najdłuższy dzień mojego życia zaczął się z opóźnieniem. Tego środowego poranka obudziłem się zbyt późno, zbyt dużo czasu spędziłem pod prysznicem i w końcu nie pozostało mi nic innego, jak zabrać się do śniadania o 7.17, dopiero gdy siedziałem na miejscu pasażera w minivanie mojej mamy.

Zwykle jeździłem do szkoły razem z moim najlepszym przyjacielem Benem Starlingiem, jednak Ben wyjechał do szkoły punktualnie, więc tego poranka nie miałem z niego żadnego pożytku. „Punktualnie” w naszym wypadku oznaczało trzydzieści minut przed właściwym rozpoczęciem lekcji, ponieważ te pół godziny przed pierwszym dzwonkiem, spędzone na wystawaniu przed bocznym wejściem do sali orkiestry szkolnej i gawędzeniu, było najważniejszym wydarzeniem w naszym kalendarzu towarzyskim. Duża grupa moich znajomych należała do orkiestry, co wiązało się z tym, że większość wolnego czasu w szkole spędzałem w odległości pięciu metrów od sali muzycznej. Sam nie byłem członkiem orkiestry, ponieważ cierpię na ten rodzaj muzycznej głuchoty, który w zasadzie utożsamiany jest z absolutną głuchotą. Byłem spóźniony dwadzieścia minut, co formalnie rzecz biorąc,

oznaczało, że i tak będę w szkole na dziesięć minut przed rozpoczęciem lekcji.

Siedząca za kierownicą mama wypytywała mnie o lekcje, egzaminy końcowe i bal pożegnalny na zakończenie szkoły.

– Nie uznaję balów pożegnalnych – przypominałem jej, kiedy wchodziła w zakręt. Z wprawą przechyliłem miskę pełnoziarnistych płatków śniadaniowych z rodzynkami, kompensując siłę grawitacji. To dla mnie nie pierwszozna.

– Cóż, nic by się chyba nie stało, gdybyś po prostu poszedł z jakąś koleżanką. Jestem pewna, że mógłbyś zaprosić Cassie Hiney. – Owszem mogłem zaprosić Cassie Hiney, która istotnie była bardzo miła, sympatyczna i uroczą, pomimo niezwykle niefortunnego nazwiska\*.

– Nie chodzi tylko o to, że nie lubię balów pożegnalnych. Nie lubię także ludzi, którzy je lubią – wyjaśniłem, choć w rzeczywistości nie była to prawda. Ben miał totalnego bzika na punkcie balu.

Mama skrzyła na szkolny parking, a ja przytrzymałem prawie pustą już miskę obiema rękami, bo właśnie przejeżdżaliśmy przez próg zwalniający. Zerknąłem na parking dla uczniów ostatniej klasy. Srebrna honda Margo Roth Spiegelman była zaparkowana tam, gdzie zawsze. Mama wjechała minivanem w ślepa uliczkę prowadzącą do sali orkiestry i pocałowała mnie w policzek. Dostrzegłem Bena i moich pozostałych przyjaciół stojących w półkole.

Podszedłem do nich, a półkole płynnie się rozsunało, by zrobić dla mnie miejsce. Rozmawiali o mojej eks-

---

\* *Hiney* (ang.) – pośladki, tyłek. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

dziewczynie Suzie Chung, która grała na wiolonczeli i najwyraźniej wywołała niemałe poruszenie, umawiając się z baseballistą, znanym jako Taddy Mac. Czy to było jego prawdziwe imię – nie wiedziałem. W każdym razie Suzie postanowiła iść na bal z Taddym Makiem. Kolejna ofiara.

– Stary – powitał mnie stojący naprzeciwko Ben. Dał mi znak głową i obrócił się na pięcie. Wszedłem z kręgu i w ślad za nim wszedłem do budynku. Ben, niskie stworzenie o oliwkowej karnacji, które co prawda weszło w okres dojrzewania, ale nigdy nie weszło weń zbyt głęboko, był moim najlepszym przyjacielem od piątej klasy, kiedy to obaj w końcu przyznaliśmy się do faktu, że żaden z nas nie ma dużych szans na innego najlepszego przyjaciela. A prócz tego Ben bardzo się starał, a mnie to się podobało. Zazwyczaj.

– Co nowego? – zapytałem. Staliśmy bezpiecznie na korytarzu, rozmowy innych zagłuszały nasze słowa.

– Radar idzie na bal – oznajmił pośpiesznie Ben. Radar był naszym drugim najlepszym przyjacielem. Nazwaliśmy go „Radar”, bo wyglądał jak ten mały gość w okularach, Radar, ze starego serialu telewizyjnego *M\*A\*S\*H*, tyle tylko że: 1. telewizyjny Radar nie był czarnoskóry i 2. jakiś czas po nadaniu mu tego przydomka nasz Radar urósł około piętnastu centymetrów i zaczął nosić szkła kontaktowe, więc zapewne 3. w istocie wcale nie wyglądał jak ten facet z *M\*A\*S\*H*, ale 4. na trzy i pół tygodnia przed zakończeniem szkoły średniej nie mieliśmy najmniejszego zamiaru wymyślać mu nowego przydomka.

– Z tą dziewczyną, Angellą? – upewniłem się. Radar nigdy nic nam nie opowiadał o swoim życiu miłosnym, co jednak nie przeszkadzało nam w częstym spekulowaniu na ten temat.

Ben przytaknął i powiedział:

– Pamiętasz mój wielki plan, żeby zaprosić na bal którąś ze świeżynek, bo to jedyne dziewczyny, które nie znają historii o Krwawym Benie? – Skinąłem głową. – No więc – ciągnął Ben – dziś rano jakaś słodka mała królisia z dziewiątej klasy podeszła do mnie i zapytała, czy to ja jestem Krwawy Ben, a kiedy zacząłem jej tłumaczyć, że to była infekcja nerek, zachichotała i uciekła. Więc już po sprawie.

W dziesiątej klasie Ben był hospitalizowany z powodu infekcji nerek, ale Becca Arrington, najlepsza przyjaciółka Margo, rozpuściła plotkę, że prawdziwym powodem tego, że Ben miał w moczu krew, była chroniczna masturbacja. Pomimo swej bezpodstawności z medycznego punktu widzenia od tamtej pory ta historia prześladowała Bena.

– No to lipa – stwierdziłem.

Ben zaczął kreślić nowe plany znalezienia partnerki na bal, ale ja słuchałem go tylko jednym uchem, bo pośród gęstniejącej ludzkiej masy tłoczącej się w korytarzu dostrzegłem Margo Roth Spiegelman. Stała przy szafce na książki razem ze swoim chłopakiem Jase'em. Miała na sobie białą spódnicę do kolan i bluzkę w niebieskie wzory. Widziałem jej obojczyk. Śmiała się z czegoś przezabawnego z pochylonymi do przodu ramionami, od zewnętrznych kącików jej wielkich oczu rozchodziły się delikatne linie, a usta miała szeroko otwarte. Jednak najwyraźniej



nie śmiała się z niczego, co powiedział Jase, bo nie patrzyła na niego, tylko w kierunku rzędu szafek po przeciwnej stronie korytarza. Podążyłem w ślad za jej spojrzeniem i zobaczyłem Becę Arrington, uwieszoną na jakimś baseballście niczym ozdoba na bożonarodzeniowej choince. Posłałem Margo uśmiech, choć wiedziałem, że mnie nie widzi.

– Stary, powinienes do niej uderzyć i tyle. Zapomnij o Jasi. Boże, ależ z niej lukrowana królisia. – Kiedy przemierzaliśmy korytarz, spoglądałem na nią ukradkiem poprzez tłum, utrwalając sobie w pamięci migawki składające się na serię fotografii pod tytułem: „Ideal stoi w miejscu mijany przez śmiertelników”. Kiedy znalazłem się bliżej, pomyślałem, że może jednak wcale się nie śmiała. Może coś ją zaskoczyło albo dostała prezent, czy coś w tym stylu. Wydawało się, że nie może zamknąć ust.

– No – rzuciłem do Bena, nadal nie słuchając, nadal starając się nasycić jej widokiem bez zwracania na siebie uwagi. Nie chodziło nawet o to, że była tak ładna. Margo była wprost niesamowita, i to całkiem dosłownie. W końcu zbyt się od niej oddaliliśmy, zbyt wiele osób przechodziło między nią a mną i nigdy nie znalazłem się wystarczająco blisko, by choć usłyszeć jej głos albo dowiedzieć się, cóż to była za zabawna niespodzianka. Ben pokręcił głową, bo już tysiąc razy widział, jak na nią patrzę, i był do tego przyzwyczajony.

– Daj spokój, fajna z niej laska, ale nie aż tak fajna. Wiesz, kto jest naprawdę wystrzałowy?

– Kto? – zapytałem.

– Lacey – odparł. Druga najlepsza przyjaciółka Margo. – No i twoja mama. Stary, widziałem, jak cię całowała w policzek dziś rano i daruj mi, ale przysięgam na Boga, pomyślałem sobie: „Rany, chciałbym być na miejscu Q. A do tego chciałbym, żeby moje policzki miały penisy”.

Dźgnąłem go łokciem w żebra, ale wciąż myślałem o Margo, bo była dla mnie jedyną legendą z sąsiedztwa. Margo Roth Spiegelman, której sześciosylabowe imię i nazwisko często były wymawiane w pełnym brzmieniu z nutą cichej rewerencji. Margo Roth Spiegelman, której opowieści o heroicznym przygodach przetaczały się przez szkołę niczym letnia nawałnica: staruszek mieszkający w walącym się domu w Hot Coffee w stanie Missisipi nauczył Margo grać na gitarze; Margo Roth Spiegelman przez trzy dni podróżowała z cyrkami (uważali, że ma potencjał na trapezie); Margo Roth Spiegelman wypijała kubek ziołowej herbaty z The Mallionaires za kulisami po koncercie w St. Louis, podczas gdy oni pili whisky; Margo Roth Spiegelman weszła na ów koncert, mówiąc bramkarzom, że jest dziewczyną basisty i czy jej nie poznają, i serio, dajcie spokój, chłopaki, nazywam się Margo Roth Spiegelman, i jeśli wejdziecie tam i powiecie basiście, żeby rzucił na mnie okiem, albo powie wam, że jestem jego dziewczyną, albo że chciałby, żebym nią była, więc bramkarz to zrobił, a basista powiedział: „No jasne, to moja dziewczyna, wpuście ją na show”, a jeszcze później ów basista chciał się z nią umówić, a ona dała kosza basiście z The Mallionaires.

Kiedy opowiadano sobie te historie, nieuchronnie kończyło je pytanie: „Dacie wiarę?”. Często nie wierzyliśmy, jednak opowieści zawsze okazywały się prawdziwe.

Dotarliśmy do naszych szafek. Radar stał oparty o szafkę Bena, pisząc coś na tablicie.

– A więc idziesz na bal – zagailem. Podniósł na mnie wzrok i zaraz znów go opuścił.

– Usuwam w Omniklopedii skutki wandalizmu w artykule o byłym premierze Francji. Wczoraj w nocy ktoś wykasował całą treść, a na jej miejsce wpisał zdanie: „Jacques Chirac to gey”, co, jak wiadomo, jest niezgodne zarówno ze stanem faktycznym, jak i z zasadami ortografii.

Radar jest pełnoetatowym redaktorem tworzonej przez użytkowników internetowej encyklopedii o nazwie Omniklopedia. Całe jego życie podporządkowane jest nadzorowaniu Omniklopedii i dbaniu o jej dobro. To tylko jeden z wielu powodów, dla których fakt, że Radar ma partnerkę na bal, był nieco zaskakujący.

– A więc idziesz na bal – powtórzyłem.

– Sorry – bąknął, nie podnosząc wzroku. Fakt, że jestem przeciwnikiem balu pożegnalnego, był powszechnie znany. Żaden jego aspekt absolutnie mnie nie pociągał – ani wolny taniec, ani szybki taniec, ani suknie, a już z całą pewnością nie wypożyczany smoking. Wypożyczenie smokingu jawiło mi się jako znakomity sposób na złapanie jakiejś paskudnej choroby od poprzedniego „najemcy”, a nie aspirowałem do tytułu jedyne go na świecie prawniczka z wszami łonowymi.

– Stary – odezwał się Ben do Radara– młode kicie znają historię o Krwawym Benie. – Radar w końcu oderwał się od komputera i współczująco pokijał głową. – W tej sytuacji – ciągnął Ben – dwie pozostające mi strategie to albo kupić partnerkę na bal w internecie, albo polecieć do Missouri i porwać jakąś małą, śliczną, wykarmioną kukurydzą królisie.

Kiedyś próbowałem wytłumaczyć Benowi, że „królisia” brzmi raczej seksistowsko i tandetnie niż retro i cool, ale on nie zamierzał porzucać swoich zwyczajów. Mówił „królisia” nawet na własną matkę. Był niereformowalny.

– Zapytam Angelę, czy kogoś nie zna – zaoferował Radar. – Chociaż znalezienie ci partnerki na bal będzie trudniejsze niż przemienienie ołowiu w złoto.

– Znalezienie ci partnerki na bal jest tak przygniatającym zadaniem, że samej hipotezy jego realizacji używa się do rozkruszania diamentów – dodałem.

Radar dwukrotnie uderzył pięścią w szafkę na książki, wyrażając swą aprobatę i dorzucił:

– Ben, znalezienie ci partnerki na bal jest tak poważnym problemem, że rząd Stanów Zjednoczonych uważa, iż nie sposób rozwiązać go na drodze dyplomatycznej i konieczne jest użycie siły.

Usiłowałem wymyślić coś jeszcze, kiedy wszyscy trzej równocześnie dostrześliśmy idący ku nam z jakimś zamiarem człekokształtny zbiornik na sterydy anaboliczne znany jako Chuck Parson. Chuck Parson nie brał udziału w zajęciach sportowych, ponieważ to odwracałoby jego

uwagę od większego celu w życiu: aby pewnego dnia zostać skazanym za morderstwo.

– Hej, cioty! – zawołał.

– Chuck – odparłem na tyle przyjaźnie, na ile mogłem się zdobyć. Przez ostatnich kilka lat Chuck nie przysparzał nam poważniejszych kłopotów – najwyraźniej ktoś w Krainie Fajnych Ludzi wydał edykt, żeby zostawił nas w spokoju. Było więc raczej niezwykle, że w ogóle się do nas odezwał.

Może dlatego, że przemówiłem, a może nie, Chuck uderzył dłońmi w szafki po obu stronach mojej głowy, a następnie pochylił się ku mnie na tyle blisko, że mogłem poczuć zapach jego pasty do zębów:

– Co wiesz o Margo i Jasie?

– Ehm – bąknąłem. Zebrałem w myślach wszystko, co o nich wiedziałem: Jase był pierwszym i jedynym poważnym chłopakiem Margo Roth Spiegelman. Zaczęli ze sobą chodzić pod sam koniec zeszłego roku. Po wakacjach oboje wybierali się na Uniwersytet Florydzki. Jase dostał tam stypendium dla baseballistów. Nigdy nie był u niej w domu, jedynie po nią przyjeżdżał. Ona nigdy nie okazywała, że jakoś szczególnie go lubi, ale z drugiej strony Margo nigdy nie okazywała, że lubi kogokolwiek. – Nic – powiedziałem w końcu.

– Nie leć sobie ze mną w kulki – warknął.

– Ja ledwo ją znam – powiedziałem, co było bliskie prawdy.

Rozważał przez chwilę moją odpowiedź, podczas gdy ja usilnie starałem się nie odwrócić wzroku od jego blisko

osadzonych oczu. Skinął lekko głową, odepchnął się od szafek i poszedł na swoją pierwszą tego ranka lekcję: pielęgnacja i żywienie mięśni piersiowych. Rozbrzmiał drugi dzwonek. Minuta do lekcji. Radar i ja mieliśmy analizę matematyczną; Ben – matematykę dyskretną. Nasze klasy przylegały do siebie, więc ruszyliśmy razem w ich kierunku, nas trzech w jednym szeregu, licząc na to, że fala naszych kolegów i koleżanek z klasy rozstąpi się na tyle, by nas przepuścić, co też się stało.

– Ben, znalezienie ci partnerki na bal jest tak trudne, że tysiąc małych piszących na tysiącu maszyn do pisania przez tysiąc lat nawet raz nie napisałoby „Pójdę z Benem na bal” – powiedziałem.

Ben nie mógł się oprzeć pokusie ostatecznego pogięcia się:

– Moje widoki na bal są tak marne, że babcia Q dała mi kosza. Powiedziała, że czeka, aż zaprosi ją Radar.

Radar powoli pokiwał głową.

– To prawda, Q. Twoja babcia uwielbia czarnych braci.

Tak żałośnie łatwo było zapomnieć o Chucku, rozmawiać o balu, mimo że bal guzik mnie obchodził. Takie było życie tego poranka: nic tak naprawdę nie miało znaczenia, ani te dobre sprawy, ani te złe. Byliśmy zajęci zabawianiem siebie nawzajem i całkiem dobrze nam to szło.

Kolejne trzy godziny spędziłem w różnych klasach, usiłując nie spoglądać na zegary nad różnymi tablicami, ostatecznie jednak spoglądając na te zegary i dziwiąc się, że minęło zaledwie kilka minut, odkąd zerkałem na nie

po raz ostatni. Miałem prawie cztery lata doświadczenia w obserwowaniu tych zegarów, ale ich ślamazarność nigdy nie przestała mnie zaskakiwać. Jeśli ktoś mi kiedyś powie, że zostałem mi jeden dzień życia, udam się prosto ku świętym korytarzom Winter Park High School, gdzie jeden dzień zwykł trwać tysiąc lat.

Chociaż zdawało mi się, że trzecia tego dnia lekcja nigdy się nie skończy, fizyka jednak minęła i już siedziałem w stołówce z Benem. Radar miał przerwę na lunch dopiero na piątej przerwie, razem z resztą naszych znajomych, więc Ben i ja zwykle siedzieliśmy sami, oddaleni o kilka krzeseł od znanej nam grupki z kółka teatralnego. Dzisiaj obaj jedliśmy minipizzę z pepperoni.

– Dobra pizza – zauważyłem. Ben z roztargnieniem pokiwał głową. – Co się stało? – zapytałem.

– Nic – przemówił z pełnymi ustami. Przełknął. – Wiem, że myślisz, że to głupie, ale ja chcę iść na bal.

– 1. Owszem, uważam, że to głupie; 2. Jak chcesz iść, to idź; 3. O ile się nie mylę, nikogo jeszcze nawet nie zapytałeś.

– Zapytałem Cassie Hiney na analizie. Napisałem jej liścik. – Uniosłem pytająco brwi. Ben sięgnął do kieszeni szortów i podsunął mi mocno pognieciony kawałek papieru. Rozwinąłem go i przeczytałem:

*Ben!*

*Bardzo chciałabym pójść z Tobą na bal, ale umówiłam się już z Frankiem. Sorry!*

C.

Zwinąłem papier i przesunąłem go po stole do Bena. Przypomniało mi się, jak grywaliśmy na tych stołach w papierową piłkę nożną.

– To przykre – powiedziałem.

– E tam, mniejsza z tym. – Ściany dźwięku wokół nas zdawały się nas osaczać, więc zamilkliśmy na chwilę, a potem Ben spojrzał na mnie bardzo poważnym wzrokiem i oświadczył: – Mam zamiar poużywać sobie w college’u. Mam zamiar znaleźć się w *Księdze rekordów Guinnessa* w kategorii „Największa liczba zaspokojonych króliś”.

Parsknąłem śmiechem. Właśnie rozmyślałem o tym, że rodzice Radara naprawdę są w *Księdze Guinnessa*, kiedy zobaczyłem, że obok nas stanęła ładna afroamerykańska dziewczyna z krótkimi nastroszonymi dreadami. Minęła chwila, zanim zorientowałem się, że to Angela, domniemana dziewczyna Radara.

– Cześć – zwróciła się do mnie.

– Hej – odpowiedziałem. Mieliśmy razem lekcje i znałem ją z widzenia, ale nigdy nie mówiliśmy sobie „cześć” na korytarzu, ani nic w tym stylu. Zaprosiłem ją gestem, by usiadła. Przysunęła sobie krzesło do szczytu stołu.

– Zdaje się, że wy dwaj znacie Marcusa lepiej niż ktokolwiek inny – powiedziała, używając prawdziwego imienia Radara. Pochyliła się ku nam, opierając łokcie na stole.

– To główniana robota, ale ktoś musi to robić – odpowiedział z uśmiechem Ben.

– Myślicie, że on, no wiecie, wstydzi się mnie?



Ben się roześmiał.

– Co? Nie!

– Na dobrą sprawę – dodałem – to ty powinnaś się wstydzić jego.

Przewróciła oczami i uśmiechnęła się jak dziewczyna przyzwyczajona do komplementów.

– Ale jednak nigdy mnie nie zaprosił, żeby coś z wami porobić.

– Aha – powiedziałem, kiedy w końcu dotarło do mnie, o co jej chodzi. – To dlatego, że on wstydzi się nas.

Zaśmiała się.

– Wydajecie się całkiem normalni.

– Jeszcze nie widziałaś, jak Ben wciąga nosem sprite'a, a potem wypływa go ustami – ostrzegłem.

– Wyglądam jak obłąkana gazowana fontanna – dopowiedział ze śmiertelną powagą Ben.

– Ale serio, mówicie, że mam się nie przejmować? No bo, chodzimy ze sobą już pięć tygodni, a on nigdy nawet nie zaprosił mnie do siebie do domu.

Wymieniliśmy z Benem spojrzenia, a ja zasłoniłem usta, by stłumić śmiech.

– Co? – dopytywała się Angela.

– Nic – odpowiedziałem. – Serio, Angela, gdyby zmuszał cię do spędzania czasu z nami i ciągle zabierał cię do swojego domu...

– ...z całą pewnością znaczyłoby to, że cię nie lubi – dokończył Ben.

– Ma dziwnych rodziców?

Głowiłem się, jak szczerze odpowiedzieć na to pytanie.

– Hm, nie. Są spoko. Tylko chyba nieco nadopiekuńczy.

– Właśnie, nadopiekuńczy – zgodził się trochę zbyt szybko Ben.

Uśmiechnęła się i wstała, mówiąc, że musi się jeszcze z kimś przywitać przed końcem przerwy na lunch. Ben odczekał, aż Angela odejdzie, zanim powiedział:

– Ta dziewczyna jest niesamowita.

– Wiem – odparłem. – Ciekawe, czy udałoby nam się zastąpić nią Radara?

– Tyle że ona nie zna się chyba zbyt dobrze na komputerach. Potrzebujemy kogoś, kto zna się na komputerach. Poza tym założę się, że jest beznadziejna w „Odrodzeniu”. – To była nasza ulubiona gra komputerowa. – A przy okazji – dodał Ben – niezły manewr z tym stwierdzeniem, że starzy Radara są nadopiekuńczy.

– Nie do mnie należy poinformowanie jej o tym.

– Ciekawe, jak długo potrwa, zanim dane jej będzie zwiedzić Rezydencję i Muzeum Drużyny Radara – uśmiechnął się Ben.

Przerwa dobiegała już końca, więc Ben i ja wstaliśmy i odstawiliśmy nasze tace na taśmę. Dokładnie tę samą, na którą Chuck Parson rzucił mnie na początku szkoły średniej, posyłając do przerażającego podziemnego świata oddziałów pomywaczy Winter Park High School. Ruszyliśmy w stronę szafki Radara i staliśmy tam, dopóki nie przybiegł do nas tuż po pierwszym dzwonku.

– Na wiedzy o społeczeństwie doszedłem do wniosku, że gotów byłbym naprawdę, dosłownie ssać ośle jądra,

jeśli dzięki temu mógłbym darować sobie ten przedmiot przez resztę semestru – obwieścił.

– Z oślich jąder można się wiele dowiedzieć o społeczeństwie – zgodziłem się. – A właśnie, mówiąc o powodach, dla których żałujesz, że nie masz przerwy na lunch razem z nami – właśnie jedliśmy z Angela.

Ben uśmiechnął się znacząco do Radara, podejmując wątek:

– No, i ona chce wiedzieć, dlaczego nigdy jeszcze nie była u ciebie w domu.

Radar zaczął robić długi wydech, wprowadzając jednocześnie za pomocą pokrętła kod otwierający szafkę. Wydychał powietrze tak długo, że pomyślałem, iż zaraz chyba straci przytomność.

– Szlag by to – powiedział w końcu.

– Czyżbyś czegoś się wstydził? – zapytałem z uśmiechem.

– Zamknij się – odpowiedział, dźgając mnie łokciem w brzuch.

– Mieszkas w uroczym domu. – Nie zrażałem się.

– Poważnie, stary – dodał Ben. – To naprawdę fajna dziewczyna. Nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś jej przedstawić swoim rodzicom i oprowadzić po Casa Radar.

Radar wrzucił książki do szafki i ją zatrzęsnał. Gwar rozmów wokół nas akurat nieco ucichł, kiedy zwrócił oczy ku niebu i krzyknął:

– TO NIE MOJA WINA, ŻE MOI RODZICE POSIADAJĄ NAJWIĘKSZĄ NA ŚWIECIE KOLEKCJĘ CZARNO-SKÓRYCH MIKOŁAJÓW!

Słyszałem, jak Radar mówi „największa na świecie kolekcja czarnoskórych mikołajów” prawdopodobnie tyśiąc razy w moim życiu, ale nigdy ani trochę nie przestało mnie to śmieszyć. Jednak Radar nie żartował. Pamiętam pierwszy raz, kiedy do niego przyszedłem. Miałem może trzynaście lat. Była wiosna, wiele miesięcy po świętach Bożego Narodzenia, a mimo to parapety okien zastawione były czarnoskórymi mikołajami. Czarnoskóre mikołaje powycinane z tektury zwisały z poręczy schodów. Czarne świece w kształcie mikołajów przystrajały stół jadalni. Obraz olejny przedstawiający czarnoskórego Świętego Mikołaja wisiał nad kominkiem, którego gzyms także był zastawiony czarnymi figurkami mikołajów. Mieli sprowadzony z Namibii podajnik do pudrowych dropsów Pez, z głową czarnoskórego Świętego Mikołaja. Podświetlany, plastikowy czarnoskóry mikołaj, który od Święta Dziękczynienia do Nowego Roku stał w ogródku wielkości znaczka pocztowego przed ich domem, resztę roku spędzał, dumnie trzymając wartość w kącie łazienki dla gości – łazienki z tapetą w czarnoskóre mikołaje własnoręcznie wykonaną za pomocą farby i gąbki w kształcie mikołaja. Każdy pokój w ich domu, z wyjątkiem pokoju Radara, tonął w czarnoskórych mikołajowych bytach – z gipsu i z plastiku, i z marmuru, i z gliny, i z drewna, i z żywicy, i z tkaniny. Łącznie kolekcja rodziców Radara liczyła ponad tysiąc dwieście czarnoskórych mikołajów wszelkiego rodzaju. Jak głosiła tablica przy drzwiach wejściowych, dom Radara był oficjalnie zarejestrowanym Obiektem Reprezentacyjnym Świętego Mikołaja, zatwierdzonym przez Towarzystwo ds. Bożego Narodzenia.

– Powinieneś jej po prostu powiedzieć, stary – poradziłem. – Musisz powiedzieć jej prosto z mostu: „Angela, naprawdę cię lubię, ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć: kiedy pójdziemy do mnie do domu, by sobie pogruchać, będzie nas obserwować dwa tysiące czterysta oczu należących do tysiąca dwustu czarnoskórych mikołajów”.

Radar przejechał dłonią po swoich świętych na jeża włosach i potrząsnął głową.

– Taa, raczej nie ujmę tego dokładnie w ten sposób, ale zajmę się tym.

Odmaszerowałem na lekcję wiedzy o społeczeństwie; Ben na zajęcia fakultatywne z projektowania gier komputerowych. Obserwowałem zegary jeszcze przez dwie godziny lekcyjne, a kiedy zajęcia wreszcie się skończyły, po mojej klatce piersiowej promieniście rozeszło się uczucie ulgi – koniec każdego dnia był niczym próba generalna przed wypadającym za mniej niż miesiąc ukończeniem szkoły średniej.

Wróciłem do domu. Na wczesny obiad zjadłem dwie kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Obejrzałem w telewizji pokera. O szóstej wrócili do domu moi rodzice, przytulili się nawzajem, potem przytulili mnie. Na obiadokolację zjedliśmy zapiekankę z makaronu. Zapytali mnie o szkołę. Zapytali mnie o bal pożegnalny. Pozachwycali się, jaką to wspaniałą robotę wykonali, wychowując mnie. Opowiedzieli mi o swoim dniu, podczas którego zajmowali się ludźmi wychowanymi znacznie mniej wspaniale. Poszli oglądać telewizję. Ja poszedłem

do swojego pokoju sprawdzić maile. Napisałem notatkę na temat *Wielkiego Gatsby'ego* na angielski. Przeczytałem kilka artykułów z „The Federalist Papers” w ramach wczesnych przygotowań do egzaminu końcowego z wiedzy o społeczeństwie. Czatowałem przez chwilę z Benem, potem online pojawił się także Radar. W naszej rozmowie czterokrotnie użył frazy „największa na świecie kolekcja czarnoskórych mikołajów” i za każdym razem wybuchaliśmy śmiechem. Powiedziałem mu, że cieszę się, że ma dziewczynę. On napisał, że to będzie wspaniałe lato. Przyznałem mu rację. Był piąty maja, ale równie dobrze mógł to być każdy inny dzień. Moje dni nacechowane były przyjemną identycznością. Zawsze to lubiłem: lubiłem rutynę. Lubiłem czuć się znudzony. Nie chciałem tego, ale to lubiłem. A zatem piąty maja mógł być dniem jak każdy inny – aż do chwili tuż przed północą, kiedy Margo Roth Spiegelman otworzyła niezabezpieczone siatką okno mojej sypialni po raz pierwszy, odkąd przed dziewięciu laty kazała mi je zamknąć.

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

# JOHN GREEN

## PAPIEROWE MIASTA



**Q**uentin Jacobsen od zawsze zakochany jest we wspaniałej koleżance, zbuntowanej Margo Roth Spiegelman. W dzieciństwie przeżyli razem coś niesamowitego, teraz chodzą do tego samego liceum. Pewnego wieczoru w przewidywalne, nudne życie chłopaka wkracza Margo w stroju nindży i wciąga

go w niezły bałagan. Po czym znika. Quentin wyrusza na poszukiwanie dziewczyny, która go fascynuje, idąc tropem skomplikowanych wskazówek, jakie zostawiła tylko dla niego. Żeby ją odnaleźć, musi pokonać setki kilometrów. Po drodze przekonuje się na własnej skórze, że ludzie są w rzeczywistości zupełnie inni, niż sądzimy.

Błyskotliwa, zabawna i poruszająca powieść drogi o dojrzewaniu, prawdziwej przyjaźni i miłości.



fot. Marina Waters

**JOHN GREEN** jest autorem światowych bestsellerów, laureatem licznych nagród literackich. Największą sławę przyniosła mu powieść *Gwiazd naszych win*. Jest bardzo aktywny w Sieci, m.in. prowadzi wraz z bratem Hankiem megapopularny wideoblog Vlogbrothers oraz ma miliony fanów na Twitterze. Mieszka z żoną i dziećmi w Indianapolis.

"Paper Towns" film artwork © 2015 Twentieth Century Fox Film Corporation. All rights reserved.

ISBN 978-83-8074-000-6



9 788380 740006

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Cena 39,90 zł  
(w tym VAT)

Wyłączny  
dystrybutor

